

Wszyscy uwierzyli, że to samobójstwo.  
Ale nie on, który trzy razy był po tamtej stronie.

Grzegorz  
BRUDNIK

CHRZCICIEL

FILIA



Grzegorz BRUDNIK

# CHRZCICIEL

FILIA



*Braciom*



*Nie ma obrzydliwszej Bogu rzeczy, niż jest piękno*





# ROZDZIAŁ 1

## Dzień 1

Lekko szpakowaty, ale przecież wciąż piekielnie sprawny mężczyzna nie zdołał się oprzeć kuli. Nawet takiej powleczonej gumą, wystrzelonej z pistoletu gazowego. Trafiła go w udo, po niej dwie kolejne i facet upadł na zalany deszczem trotuar. A gdy tylko to nastąpiło, silne kopnięcie w żebra dopełniło dzieła zniszczenia. Sapiąc i bulgocząc, obrócił się na plecy, a potem spojrzął na swojego oprawcę. Pomarańczowe światło ulicznej latarni i zacinający niemal poziomo deszcz rozmywały sylwetkę napastnika. Wiatr rozwiewał mu czarny płaszcz sięgający kolan. Wyglądał jak postać z czarno-białych komiksów, zaledwie pociągnięta tuszem, bez twarzy, bez serca, bez duszy.

– Jedenaście miesięcy temu kopnąłeś mojego psa, śmieciu – powiedziała postać. – Myślisz, że o tym zapomniałem?

– Lichy, nie wygłupiaj się – wycharczał mężczyzna leżący na ziemi. – Przecież wiesz, że Cyra mi kazał.

– Powiedziałem ci, że się z tobą za to policzę – wycedził komisarz Lichy i wyprowadził jeszcze jedno kopnięcie.

Tymczasem niewielkie, brudne jak mop na kopalni i oczywiście całkowicie przemoczone stworzenie ziewało

u boku swojego dwunożnego przyjaciela, zupełnie niezainteresowane przebiegiem zdarzeń. Skoro przyjaciel stwierdził, że trzeba bić, to najwyraźniej tak trzeba. Kimże było stworzenie, by swego przyjaciela osądzać?

– Myślisz, że już mu wystarczy? – zapytał stworzenia komisarz Rafał Lichy, ale nie był zainteresowany odpowiedzią, bo i tak kopnął leżącego jeszcze dwa razy, a potem kucnął przy nim.

– Nigdy więcej nie kop mojego psa, chamie – powiedział, po czym wstał i ruszył w kierunku zaparkowanego nieopodal auta. Stworzenie zamerdało ogonem w oczekiwaniu na ciche gwizdnięcie, a gdy nastąpiło, z radością popędziło za przyjacielem.

To było godzinę temu. Teraz toczyli się wolno po skąpanej w deszczu i mroku drodze przez przełęcz Przegibek, przecinając Grupę Magurki Wilkowieckiej. Jechali tam, gdzie Lichy zawsze jeździł każdego piętnastego listopada. Do Wilczego Jaru.

Właściwie nie pamiętał, skąd się u niego wzięła ta potrzeba cichej celebracji każdej rocznicy katastrofy drogowej pod Żywcem. Być może wynikała ona z jego fascynacji śmiercią, a przecież aż do lat dziewięćdziesiątych był to wypadek drogowy z największą liczbą ofiar w historii polskich dróg. Lichy jeździł tam co roku, zatrzymywał się na niewielkim parkingu, wypalał papierosa lub dwa i wracał do domu. Choć z tym domem to była ciekawa sprawa, bo przecież wychował się tu, zaledwie kilka kilometrów dalej, w Międzybrodziu Żywieckim. I tu właśnie,

na szczycie góry Żar królującej nad wsią, podjął pierwszą z trzech prób samobójczych. No, ale mieszkał teraz w Katowicach.

Na szczycie przełęczy, może ze dwieście metrów za niewielkim parkingiem, w snopie świateł drogowych walczących z mrokiem dostrzegł idącą powoli postać. Mężczyznę. Dość wiekowego i w dodatku mierzącego się z jakimś ciężarem. Niósł coś, co wyglądało jak dwie średniej wielkości skrzynki. Lichy zwolnił i odsunął szybę.

– Wsiadaj, człowieku, bo się utopisz.

Starzec spojrział na niego z zaskoczeniem, a potem uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Nie, nie. Jestem cały w błocie, szkoda tak ładnego auta.

Bo auto rzeczywiście było ładne. Czarna, matowa corvette piątej generacji. Auto po ciotce, przedmiot wielu drwin ze strony kolegów. Drwin, które początkowo go bolały, a potem nauczył się mieć je w dupie.

– Wsiadaj – powtórzył Lichy i pociągnął za klamkę. Wylegujący się na fotelu Sierść zrozumiał, że trzeba znaleźć sobie nowe miejsce i że być może w związku z tym otwiera się szansa, by wdrapać się na kolana przyjaciela, czego ten zawsze zabraniał w trakcie jazdy.

– O, jaki piękny zwierz. – Mężczyzna się uśmiechnął, gdy siedział już w aucie. Nic nie przesadzał. Faktycznie był cały ubłocony i Lichy wiedział, że czeka go pranie wnętrza auta, ale przecież nie zostawi człowieka na takim pustkowiu w taką pogodę. Nawet takiego, co wyglądał jak

pospolity włóczęga. Włosy miał długie i siwe, choć chyba regularnie myte, bo mimo pewnego nieładu nie były ani poskręcane, ani polepione. Spływały z głowy jak spieniona woda. Co innego broda. Również siwa i bardzo długa, ale tak sztywna i szorstka, że starzec mógł w niej schować wszystko, od noża po drugie śniadanie. Albo prędeż butelczynę z czymś rozgrzewającym, bo zaczerwienione policzki i trochę za mocno ukrwiony nos wskazywały na to, że nie stronił od alkoholu. Ale nim nie śmierdział. W ogóle nie śmierdział, jeśli nie liczyć niezbyt przyjemnej, jednak naturalnej woni starego, tysiące razy pranego, a teraz ponownie mokrego, ubrania.

– Pasy – ni to poprosił, ni rozkazał Lichy.

– A tak, tak – powiedział mężczyzna i sięgnął za siebie lewą ręką. Drewniane kloce wyjątkowo utrudniały mu poruszanie, więc tą samą ręką, którą chwycił pas, wpiął go do gniazda po swojej lewej stronie. Zabawnie to wyglądało, bo wił się, jakby dostał ataku padaczki, a jednocześnie uśmiech ani na moment nie zniknął z jego twarzy.

– Gdzie jedziesz? – zapytał, bo skoro już przeszedł na „ty”, to nie było teraz sensu wracać do „panowania”.

– A niedaleko. Do Międzybrodzia.

– Bielskiego?

– Żywieckiego, po drugiej stronie...

– Wiem. To moja wieś.

– Naprawdę? Nigdy cię tam nie widziałem. Wybacz, mam na imię Iwajło.

– Bułgar?

– Dawniej. Bardzo dawno.

– Rzeźbisz? – zapytał Lichy, wskazując na drewniane kloce.

– Tak. Co niedzielę wybieram się tutaj po materiał.

– Zapytałbym, dlaczego tutaj, ale to chyba zbędne.

Iwajło zarechotał, aż mu się zatrzęśła biała broda.

– No, nie ukrywam – powiedział. – Nie do końca legalnie to zbieram. Ale oni na tej porębie marnują bardzo dużo drewna. Właściwie pomagam im sprzątać. Ale gdybym mógł cię prosić, nie podkabluj mnie na policję.

– Za późno. – Lichy się uśmiechnął, wyjął zza osłony przeciwsłonecznej swoją policyjną legitymację i wprawnym ruchem jednej ręki otworzył ją przed swoim pasażerem.

– O choroba – zafrasował się Iwajło, ale że Lichy nie wytrzymał w swojej poważnej pozie i ryknął śmiechem, zaraz śmiali się obaj.

By podwieźć Bułgara kawałek dalej, Lichy lekko zmodyfikował trasę i zamiast po zaporze w Tresnej przekroczył Sołę mostem wiodącym wprost do jego rodzinnej wsi. Iwajło zarzekał się, że dalej pójdzie pieszo, choć zgodnie z tym, co powiedział wcześniej, zostały mu jeszcze ze trzy kilometry drogi i to pod górę. Jednak Lichy chciał zdążyć do Wilczego Jaru jeszcze przed północą. Bezsensowny symbol, ale wciąż symbol. Więc wysadził Bułgara, a potem skręcił w kierunku ulicy Spacerowej. A tam, jak zwykle nie upilnował nogi. Czuł się zrelaksowany. Napięcie mięśniowe trochę zelżało, palce od godziny zaciśnięte na

kierownicy odzyskały nieco ze swojego zwykłego koloru i nawet stacja radiowa dostosowała się do nastroju Lichego, puszczając w eter jakąś hawajską piosenkę, śpiewaną pięknym męskim głosem do akompaniamentu ukulele.

*Dlaczego tak rzadko tu wracam?* – zapytał samego siebie. Przecież kochał tę okolicę. Góry, przez które Soła siłami natury uczyniła sobie wyłom, a dzięki wysiłkom człowieka nawet powiększyła panowanie. Zbiegające z beskidzkich zboczy Soła i Koszarawa, niewielkie rzeki o wielkich ambicjach, ścierały się ze sobą na przedmieściach Żywca, a potem wspólnie chuliganiąc, niejednokrotnie pustoszyły miasto, więc w latach sześćdziesiątych postanowiono je w końcu ujarzmić. Zbudowano trzy nowe jeziora i system zapór. Największe, Żywieckie, zaczynało się na północnych rubieżach miasta, a kończyło sześć kilometrów dalej, na zaporze w Tresnej. Potem Soła mijała Czernichów, by wraz z wpadającym do niej potokiem Isepnica na wysokości Międzybrodzia Żywieckiego utworzyć Jezioro Międzybrodzkie, ciągnące się aż do zapory w Porąbce. A dalej, tam gdzie zasilają ją wody strugi zwanej przez mieszkańców Wielką Puszczą, raz jeszcze Soła rozlewała się wśród wzgórz, zmieniając się w Jezioro Czarnieckie. Najmniejsze i ostatnie przed ujściem do Wisły, hen daleko, w Oświęcimiu. Najmniejsze, ale też najważniejsze, bo stąd właśnie pitną wodę czerpie nie tylko Bielsko-Biała, ale i cały Górnośląski Okręg Przemysłowy.

I tak sobie jechał. Nawet nie odczuł, że trochę za szybko. Sierść go nie ostrzegł. Sytuacja drogowa nie zniechęciła.

Dopiero po minięciu zapory w Tresnej uzmysłowiło mu to lusterko, które naraz eksplodowało melanzem dwukolorowych świateł.

Lichy westchnął i zjechał na pobocze. Radiowóz zatrzymał się kilka metrów za nim. Przez chwilę nic się nie działo, a potem drzwi od strony pasażera otworzyły się i z corolli nieśpiesznie wysiadła szczupła postać. Kierowca zgodnie z procedurą nie wyłączył świateł błyskowych. Spoglądając w lusterko i korzystając z momentów, gdy błyski choć trochę oświetliły nadchodzącego funkcjonariusza, Lichy uzmysłowił sobie w końcu, że to kobieta.

Podeszła od strony jego drzwi, przyświecając sobie latarką. Odsunął szybę i padająca z nieba woda natychmiast zaczęła się wdzierać do rozgrzanego wnętrza corvette, zalewając przełączniki otwierania szyb. Gdy poprzednio dopuścił do czegoś takiego, skończyło się wizytą u elektryka. Zaklął więc cicho, ale nic więcej zrobić nie mógł.

Nim podeszła, miał już w ręku dokumenty. Wystawił je przez okno.

– Dzień dobry – powiedziała, zaglądając do auta. Uznał, że miała ładną górną część twarzy. Dolna skryta była za czarną, służbową maseczką. Spod mokrego kaptura wystawał pukiel jasnych włosów i to właściwie tyle, ile mógł zaobserwować. – Młodsza aspirant Magda Siwiec, Wydział Ruchu Drogowego Komendy Powiatowej Policji w Żywcu.

– Dzień dobry.

Teraz dopiero wzięła od niego prawo jazdy i dowód osobisty.

- Proszę założyć maseczkę – poprosiła.
- Niestety nie mam – odparł. – Nie planowałem nigdzie wychodzić.
- Zwracam panu uwagę, że całe województwo objęte jest czerwoną strefą, co skutkuje obowiązkiem noszenia maseczki w miejscach publicznych.
- Nie jestem w miejscu publicznym.
- Oczywiście. Tylko przypominam. Powodem kontroli jest przekroczenie prędkości i niedostosowanie jej do warunków... – urwała i wiedział dlaczego. Spojrzała w końcu na jego dowód. Przeczytała jego nazwisko.
- Rafał Lichy? – Ni to zapytała, ni stwierdziła, ni to do Lichego, ni to do siebie samej.
- Zgadza się.
- I wtedy Lichy usłyszał jeszcze jeden głos. Głos szefa żywieckiej komendy. Wiedział o tym, bo go znał.
- Zero, zero do jedenaście – zaskrzypiało radio przypięte do klipsa nieco powyżej jej piersi.
- Jedenaście – odparła policjantka, wciskając przycisk na krótkofalówce.
- Natychmiast udaj się do Międzybrodzia Żywieckiego – odpowiedziało radio. – Mamy zaginięcie dziecka. Formujemy kordon i będziemy obchodzić jezioro.
- Przyjęłam – rzuciła do mikrofonu. – Wiemy coś więcej?
- Tylko tyle, że zaginiony wysłał SMS-a do siostry. Pożegnał się i napisał, że będzie w wodnym lunaparku. Wiesz, gdzie to może być?



- Nie wiem. Jedziemy do was. Będziemy za kilka minut.
- Zbiórka pod Domem Strażaka.
- Przyjęłam – rzuciła jeszcze, a potem zwróciła się do Lichego, oddając mu dokumenty:
  - Upięкло się panu, ale mam wrażenie, że wkrótce znów się spotkamy.
  - Trochę mam na to nadzieję. – Uśmiechnął się. Ona nie. Nie poświęciła mu ani ułamka sekundy więcej. Nim wsunął dokumenty z powrotem do kieszonki ultraplaskiego portfela z tyveku, corolla skręcała już w stronę ulicy Spacerowej.

Zasunął szybę i odruchowo wytarł rękawem mokry bok drzwi.

*Będzie w wodnym lunaparku* – powiedział głos komendanta w jego głowie. Mają obchodzić jezioro. Ale przecież to oczywiste, że nie o jezioro chodziło.

– Nie tam, do cholery... – krzyknął i naraz odczuł potężną eksplozję energii, momentalnie wprowadzającą go w stan, który dla własnych potrzeb nazywał rozszczepieniem neuronów. Doświadczał tego od czasu do czasu, a gdy to następowało, biomechanika jego ciała rozkręcała się do wartości granicznych i Lichy zamieniał się w maszynę.

Wrzucił drive i wbił pedał gazu w podłogę, obracając jednocześnie kierownicę aż do odbicia. Tylny napęd zrobił resztę roboty. Samochód zawrócił niemal w miejscu, a potem wyrwał do przodu jak rakietą. Lichy uwielbiał to w swojej corvette. Bez żadnych idiotycznych swapów, bez chipowania silnika, to auto po prostu kochało zapierdalać.

Wlatując w ulicę Spacerową, usiłował połączyć się z komendantem. Żadna z trzech prób nie przyniosła efektu. Rozeźlony rzucił telefon na fotel, niemal zapominając, że leży na nim pies. Kierowca chwycił mocniej lejce, nadepnął gaz aż załączył się *kick down* i z głośnym strzałem tłumika rzucił się w wąski, nieoświetlony trakt. Corvette wyła, bo kręcił ją aż do czerwonego pola na obrotomierzu. Lichy był jak w transie. Stopy tańczyły na pedałach, ręce wykonywały czary-mary na kierownicy. Auto niemal ocierało się, to o metalowe barierki po lewej stronie jezdni, to o skarpę po prawej. Lichy gnał jak wiatr i szybko zbliżał się do celu.

„Będzie w wodnym lunaparku”.

Droga wznosiła się i biegła teraz kilka metrów powyżej powierzchni Soły. Za dnia było tu spektakularnie. Nocą raczej przerażająco. Ale Lichy znał każdy zakręt tej drogi. Pokonywał ją latami. Najpierw rowerem, potem gdy trochę podrośł, brat uczył go tu prowadzić auto. W absolutnej ciemności rozlewające się po pniach przydrożnych drzew rozbłyśki świateł poinformowałyby go, gdyby ktoś jechał z naprzeciwka. Nikt nie jechał.

Trzy minuty później dojechał do skrzyżowania Spacerowej z Beskidzką i znalazł się w centrum wsi. Wypadł z podporządkowanej z takim impetem, że tył odjechał mu aż do zatoczki autobusowej po lewej stronie jezdni. Dobrze, że tam była, bo inaczej połamałby oś. Ale przecież wiedział, że tam była. Gdy wyprowadził auto z poślizgu i dodał gazu, dojrzał przed sobą gęstniejący tłum. Ludzie

tłoczyli się na jezdni, parkowali na chodniku. Widział przede wszystkim ich rozedrgane latarki, które krótkimi błyskami rozświetlały całą okolicę.

Był na miejscu.

Tłum nieznacznie rozsunał się na boki, by mógł przejechać. Zwolnił do prędkości pieszego, usiłując dostrzec swego brata. Nie udało mu się, ale za to szybko wypatrzył znajomy blond kucyk.

– Siwiec – krzyknął, odsuwając szybę. – Siwiec!

Odwrociła się. Kilka sekund procesowała jakąś myśl, aż w końcu podeszła nieco bliżej.

– Gdzie komendant? – wypalił, gdy podeszła.

– Co?

– Gdzie jest mój brat?

– Nie wiem, chyba jeszcze go nie ma, pewnie jedzie od strony...

– Wsiadaj.

– Co?

– Wsiadaj, do cholery.

– Nie mogę. Formujemy...

– Wiem, gdzie on jest. Wsiadaj!

Wahała się krótko. Szarpnęła za klamkę i niemal wpadła do środka. Jego corvette miała obniżone zawieszenie i bardziej się w niej leżało, niż siedziało. Sierść uskokczył dosłownie w ostatniej chwili. W końcu dziewczyna usadowiła się jakoś w ubłoconym fotelu, prawą ręką macając wewnątrz auta w poszukiwaniu pasa bezpieczeństwa. A on znów wdepnął pedał gazu. Zachwiało nią, więc złapała

## PRAWDZIWY MROK SKRYWA SIĘ W LUDZKICH SERCACH.

Malownicza beskidzka wieś, tajemnicza śmierć trzynastoletniego chłopca w zbiorniku elektrowni na szczycie Żaru i tylko jeden człowiek, który za wszelką cenę dąży do prawdy. Komisarz Rafał Lichy po latach wraca w rodzinne strony, ale by znaleźć mordercę, będzie musiał stanąć sam przeciwko wszystkim. Nawet przeciwko własnemu bratu. Tymczasem nadciąga wielka woda.

Grzegorz Brudnik, autor świetnie przyjętego „Szafarza”, powraca z noire'ową kontynuacją opowieści o komisarzu Rafale Lichym, który wspierany przez nowego, czworonożnego członka rodziny, powoli wydobywa się z życiowego niebytu. Ale niebyt nie wypuszcza swoich dzieci z ramion bez walki. Czy ta, którą stoczy z nim Lichy, będzie w końcu ich ostatnią?

PATRONAT MEDIALNY



cena 49,90 zł

mrocznastrona.pl  
wydawnictwofilia.pl



**FILIA** MROCZNA  
STRONA

ISBN 978-83-8357-759-3



9 788383 577593